

Józef Baran

Spadając, patrząc w gwiazdy (4)

(fragmenty)



Wszczęświat i mrowisko

A skoro jesteście przy filozofii...

Spotkanie po długim czasie z filozofem, religioznawcą i jedną z najbarwniejszych postaci, jakie poznałem w życiu – profesorem Włodkiem Pawluczukiem.

Jak zwykle, rozmawiając z nim, mam wrażenie, że jest teraz nie w kawiarni Dworku Białoprądnickiego, lecz na Drodze Mlecznej, w dalekich przestworzach, kędy przemyka się zawinięty w kokon rozmyśla o sprawach, w których będąc znakomitym specjalistą, nigdy nie będzie ekspertem ostatecznym. Bo kowal, który zna się na przybijaniu podków koniom, oraz informatyk zajmujący się komputerem, a więc mający wycinek zainteresowań stąd-tąd, owszem, mogą być w swojej dziedzinie ekspertami doskonałymi, Pawluczek zaś, który – jak mawiał Białoszewski – „tołkuje się” rozmyślaniami na temat początku i końca świata – wszedł w nieskończoną przestrzeń, której Gospodarzem i Ekspertem jest tylko Pan Bóg. Jeśli Pan Bóg „Jest”, bo Włodek, choć deklaruje się jako wierzący – oczywiście nie na sposób katechetyczny – twierdzi, że Boga, w ludzkim rozumieniu, „nie ma”. Istnieje po bosku, czyli jak mówili niektórzy wielcy mistycy – jako pustka, jako próżnia, jako Nicość, w każdym razie nie tak jak my i Wszczęświat, lecz gdzieś poza sferą ludzką, poza sferą materialną.

Więc powtarzam pytanie: jak Pawluczek, mistrz nawet najbardziej wymyślnych paradoksów, może ogarnąć i przeniknąć umysł Boga, skoro ma tylko 75 lat, a Bóg liczy sobie biliony? tryliony? kwantyliony?... co ja mówię... jest nieogarniony czasem i przestrzenią? Zresztą i Wszczęświat bardzo trudno ogarnąć umysłem, bo to prastwór liczący sobie podobno 15 miliardów lat i trzeba by owe 15 miliardów odwiać wstecz jak taśmę czy

czarodziejski dywan, ażeby zrekonstruować historię początku, co też niektórzy naukowcy czynią, w tym także filozof Pawluczek siłujący się niczym mrówka z umysłem Boga i Wszczęświata, a więc z problemami, które go przerastają, bo przerastają każdego człowieka. Pisząc swoje książki, stara się wyjaśnić, co wyjaśnić się nie da, a nawet ma pewne osiągnięcia w tej dziedzinie, to znaczy jest jednym z głębszych umysłów kosmogonicznych w Polsce...

Ostatnio w Białymstoku, gdzie mieszka na osiedlu profesorskim, dyskutował z fizykiem właśnie o Wszczęświecie. Zapytał go mniej więcej tak: – Jak wiesz, Hawking zajmuje się w swoich dziełach pierwszymi piętnastoma sekundami Wielkiego Wybuchu, czyli powstaniem Wszczęświata. Ale ja pytam ciebie – jako fizyka – co było przed owymi piętnastoma sekundami, czy istniały przed Wszczęświatem prawa fizyki, a więc czy istniał jakiś precyzyjny plan wybuchu? Przecież doskonale wiesz, że Wielki Wybuch mógł dać rezultaty, jakie dał, tylko pod warunkiem że przebiegnie tak, jak przebiegał, precyzyjnie, ze wszystkimi parametrami i szczegółami. Gdyby wybuch nie przebiegał wedle precyzyjnie obmyślonych etapów, gdyby owe etapy i parametry wybuchu były ciut-ciut inne, odrobinę mniejsze, odrobinę większe, czyli gdyby tym wybuchem nie kierowała jakaś precyzyjna, genialna, bo chyba nie ślepa siła wynikająca z praw fizyki – Wszczęświat by się roztrzaskał jeszcze przed narodzeniem i rozwojem...

Następnie Włodek przeszedł w rozmowie do mrowiska. Kopiec mrowiska usypany w lesie przez dzielny naród małych niestrudzonych mrówczych pracowników jest słusznie nazywany przez architektów arcydziełem architektury.

Skomplikowany system labiryntów, nisz, korytarzy, mostków, przejazdów, chodników i pięt usypanego kopca wskazywały na to, że prace nad nim nadzorował jakiś mrówczy inżynier, realizujący swój plan zgodnie z określonym planem budowy, rozdzielający prace między pracowników i doglądający każdego szczegółu. W jaki więc sposób mrówki porozumiewają się ze sobą i gdzie wśród nich znajduje się naczelny architekt? O nikim takim badacze mrówek nie wiedzą. Nie ma naczelnego architekta, nie ma śladu planu – a mrówczy kopiec stoi!

Podobnie ze Wszczęświatem, który genialnie zdarzył się i istnieje, choć nic nie wiemy o Sprawcy tego genialnego Przypadku...

Filozof żeni się z księżniczką Rwandy

Włodek nie zawsze zajmował się tylko sprawami ostatecznymi, ale także sprawami doczesnymi: ot, choćby podróżami do fantastycznie odległych, egzotycznych krajów

(Etiopia, wyspy Solówki, Grenlandia) w poszukiwaniu kamienia filozoficznego, badaniem smaku dobrych trunków czy po prostu odszyfrowywaniem piękna zaklętego w kobietach, z których niektóre też żywo interesowały się barwnym umysłem – a od umysłu do ciała niedaleko – Filozofa.

Ostatnia z tej serii fantastycznych przygód profesora zdarzyła się parę lat temu w rodzinnym mieście wojewódzkim Białymstoku, gdzie Pawluczek oprócz tego, że jest postacią pomnikową, mieszka naprawdę, bo przeprowadził się do córki i wnuka z Krakowa po przejściu na profesorską emeryturę.

Pewnego razu wypatrzył mianowicie, że stary sklepikarz z sąsiedniej ulicy więzi „w lochach” willi piękną czarną dziewczynę, która okazała się jego... żoną. Od słowa do słowa, od rozmowy do rozmowy i Włodek dowiedział się, skąd w Białymstoku pojawiła się „księżniczka” z Rwandy. Podobno sklepikarz był zawołanym pszczelarzem. W związku z tym wyjechał z Caritasem do Afryki, aby nieść pomoc biedakom w kraju ogarniętym pożogą wojny domowej. Na czym miała polegać jego pomoc? Wymyślono, że będzie uczył Rwandyjczyków mordujących się nawzajem szlachetnej sztuki pszczelarstwa, co powinno ich odciągnąć od mordu.

Z edukacji pszczelej niewiele wyszło, za to udało mu się wreszcie znaleźć żonę z jakiegoś wysokiego rodu, co w czasie wojny w tym kraju nie miało dużego znaczenia, którą zakupił za śmieszłą kwotę i przywiózł do Polski. Tutaj porozumienie okazało się jednak trudniejsze, niż sobie wyobrażał, tym bardziej że prawie nie mówił po angielsku, a dziewczyna wzbudzała na ulicach niezdrowe zainteresowanie podrostków, dlatego jej sędziwy i dość szpetnie wyglądający mąż zaczął odczuwać coraz większy dyskomfort sytuacyjny. Kiedy filozof wzruszony i przejęty losem dziewczyny zażartował przy kieliszku, że odkupi ją i ożeni się z nią, bo „chwilowo jest wolny”, żart – o dziwo – został potraktowany na serio. W dwa dni później sąsiad się zjawił, oświadczając, że przystaje na propozycję profesora. Wstępne oględziny i rozmowa profesora z „księżniczką” wypadły korzystnie dla obojga stron; przypadli sobie bowiem nawzajem do gustu.

Pierwotny właściciel zażądał 3 tysięcy złotych, zwrotu biletu za samolot z Afryki i... honorowego napiwku.

Jak się bawić, to się bawić... Transakcja i ceremonia weselna, usankcjonowana toastem, miała się odbyć następnego dnia w domu przyszłego pana młodego.

Przy stole rodzinnym w mieszkaniu Pawluczuka zebrała się rodzina i paru znajomych, czyli goście weselni, którzy uznali, że profesor zwariował, ale czekali z ciekawością na dalszy rozwój wypadków. Najbardziej podniecony zjściem okazał się wnuk, który zacierał ręce, że będzie się mógł pochwalić w szkole, iż jego dziadek, ajajaj!, ożenił się z Czarną...